

Jerzy KROPIWNICKI

O TOŻSAMOŚĆ „SOLIDARNOŚCI”

W solidarności tkwi tajemnica niestychanego pluralizmu politycznego i światopoglądowego obecnego w tym związku: z niej wyływała nie tylko tolerancja dla różnic, ale i ograniczanie aspiracji większości wszędzie tam, gdzie mogły być naruszone istotne, godziwe interesy i prawa mniejszości.

NIEZALEŻNY SAMORZĄDNY ZWIĄZEK ZAWODOWY

W totalitarnym państwie komunistycznym właściwie nie było miejsca dla rzeczywistego związku zawodowego – reprezentanta interesów pracowni-
czych. Potrzeba takiej instytucji była kwestionowana na płaszczyźnie dok-
trynalnej: skoro właścicielami środków produkcji, a zatem i pracodawcami,
stali się robotnicy, skoro faktyczną władzę sprawowała partia robotnicza –
zatem zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio robotnicy byli pracodawcami
i pracobiorcami jednocześnie.

A jednak instytucji nie likwidowano. Czy tylko dlatego, że w tzw. kra-
jach demokracji ludowej z upodobaniem kopiowano, czy też zachowywano
instytucje życia publicznego charakterystyczne dla świata zachodniego: par-
lament, stronnictwa polityczne, wybory, samorząd terytorialny, związki za-
wodowe – niejako na pokaz? Czy dlatego, że uznano związki zawodowe za
instytucję przydatną w oddziaływaniu na społeczeństwo, za swoisty „pas
transmisyjny woli partii do mas”? Zapewne obydwie te względy były ważne.

Ważniejsze chyba było jednak to, że związek zawodowy był pracowni-
kom potrzebny: brak tej instytucji tworzyłby dla władzy niebezpieczną próż-
nię, którą coś musiałoby tak czy inaczej zapełnić. Pracownicy postrzegali
jako pracodawcę dyrekcję zakładu, partię, rząd. Nie siebie. W takiej roli te
instytucje de facto wobec nich występowały. One decydowały o wysokości
płac i kosztach utrzymania, o bezpieczeństwie pracy i ochronie zdrowia,
o zatrudnieniu, zwolnieniu i awansie – w ogóle o wszystkim, co określało
warunki pracy. Ludzie pracy mieli świadomość swych praw i nie byli zado-
woleni ani z ich realizacji, ani ze sposobu, w jaki te prawa były reprezento-
wane. Postulat a u t e n t y c z n e j reprezentacji pracowniczej pojawiał się we
wszystkich protestach pracowniczych: w roku 1956, 1970 i 1980.

W 1970 roku władze obiecały nowe, demokratyczne wybory w istnieją-
cych związkach. Obietnicy nie dotrzymano. W 1980 roku postulat autentycz-
nych związków zawodowych wrócił. Jednym z symbolicznych momentów
strajku w Stoczni Gdańskiej było przekreślenie tablicy z napisem „Rada
Zakładowa Związków Zawodowych”, a jednocześnie wpisanie wolnych

związków zawodowych na poczesne miejsce na liście postulatów. Tego postulatu nie udało się usunąć – choć wpływowi doradcy strajkowi byli przekonani, że jest on nie do zrealizowania. Pracownicy bronili go z uporem. To ten postulat przedłużał czas strajku. Dla doradców była to „jakaś niezależna instytucja” – pracownikom wyraźnie chodziło o tę właśnie. I nie jest przypadkiem, że wśród założycieli NSZZ „Solidarność” prawie wszyscy – od Wałęsy, Świtonia, Jurczyka i Rulewskiego poczynając – mieli jakąś przeszłość w legalnych związkach zawodowych. Niektórzy po rozczarowaniu w związku oficjalnym uczestniczyli w zakładaniu związków „nielegalnych”.

W 1987 roku na jesieni najtęższe mózgi opozycji lewicowej uznały, że „Solidarność”, jeśli nawet była niegdyś związkiem – to już nim nie jest. A w każdym razie nikomu już w tym charakterze nie jest potrzebna. Jacka Kurońa *Krajobraz po bitwie* i Andrzeja Celińskiego wywiad dla „Newsweeka” z końca listopada 1987 nie pozostawiały w tym względzie wątpliwości. Niebawem okazało się, że było to typowe pomieszanie własnych życzeń z rzeczywistością: w strajkach kwietniowo-majowych 1988 roku odżył postulat przywrócenia „Solidarności” jako związku zawodowego.

I nic dziwnego – jak długo będzie istniał pracodawca i pracobiorca, tak długo będzie potrzebna instytucja reprezentująca interesy pracobiorcy – właśnie związek zawodowy. Zdaniem robotników A. D. 1988 takim związkiem był i miał być nadal NSZZ „Solidarność”.

„Solidarność” oczywiście była i jest nie tylko związkiem zawodowym. Jako jedyna w Polsce niezależna i masowa instytucja świecka musiała siłą rzeczy zaznaczać aktywnie swą obecność we wszystkich sferach życia społecznego i narodowego. Stopniowo w miarę zmiany sytuacji w układach społeczeństwo–władza jest zastępowana w różnych sferach i zadaniach przez lepiej do tego nadające się instytucje, ruchy i organizacje: partie polityczne, stowarzyszenia, samorządy, środki przekazu społecznego, posłów, senatorów itp. Być może jeszcze jakiś czas będzie musiała stanowić siłę wspierającą różne inicjatywy na rzecz naprawy Rzeczypospolitej. Odpadanie kolejnych zadań szczegółowych nie pozbawia jej jednak tożsamości. Przetrwa zarówno upadek koncepcji samorządu pracowniczego, jak i upadek niejednego rządu – nawet sformowanego przy jej poparciu. Nie przetrwa, jeśli zatraci tożsamość jako związek zawodowy. Nie tylko dlatego, że nie sposób sobie wyobrazić, by w opinii swych członków pozostała sobą, gdyby ktokolwiek poważił się zmienić strukturę organizacyjną opartą przecież na załogach pracowniczych i ich reprezentacjach. Również dlatego, że zaniedbanie funkcji reprezentanta interesów pracowniczych – jeśli nawet byłoby tolerowane przez załogi (co wątpliwe, jak dowodzi doświadczenie) – stworzyłoby tę samą próżnię, jaką kiedyś wytworzył układ PZPR-CRZZ.

Prawo pracowników do obrony swych praw jest z punktu widzenia katolickiej nauki społecznej i prawa międzynarodowego prawem naturalnym, niezbywalnym i nienaruszalnym. Realizuje się ono przede wszystkim po-

przez związek zawodowy powstały z woli pracowników, działający w oparciu o własny program, godziwymi metodami zmierzający do osiągnięcia wyznaczonych przez siebie godziwych celów.

Takim związkiem, w opinii nie tylko swych członków, jest NSZZ „Solidarność”. Fakt, iż z „Solidarności” wywodzi się rząd Tadeusza Mazowieckiego, że odwołanie się do symboli „Solidarności” zaważyło na wyborze wielu posłów i senatorów (i to nie tylko tych z listy OKP), zmieni być może sposób obrony praw pracowniczych przez Związek, ale nie uchyla konieczności ich obrony, konieczności reprezentowania środowisk pracowniczych i ich interesów.

Niezbywalnym zadaniem każdego związku zawodowego jest dążenie do tego, by szczególnie chronione były prawa każdego i wszystkich:

- do zatrudnienia stosownie do zdolności, kwalifikacji i doświadczenia,
- do pracy sensownej i pożytecznej,
- do sprawiedliwej płacy, renty i emerytury zapewniającej godne życie rodzinie pracowniczej,
- do pracy nie rujnującej zdrowia i życia oraz nie poniżającej godności człowieka,
- do należytego wypoczynku.

Szczególnej ochrony wymaga praca kobiet. Nie może ona wchodzić w zasadniczy konflikt z ich niezastępowalną rolą matek i żon.

Te zadania związku zawodowego szczególnie mocno podkreślane są przez katolicką naukę społeczną, formułowane w dokumentach Kościoła, przypominane nieustannie przez Ojca Świętego Jana Pawła II. Gdy o nich się zapomina – związek przestaje być związkiem. Protesty sierpniowe i wrześniowe 1989 roku odbywały się poza strukturami „Solidarności”, choć z udziałem jej członków. To poważny sygnał, że Związek traci wiarygodność.

„SOLIDARNOŚĆ”

Również nazwa jest nieprzypadkowa. Ona też stanowi element tożsamości. Ani w Gdańsku, ani w Szczecinie – tych dwóch kolebkach NSZZ „Solidarność” – nie chciano poprzestać na nazwie Niezależne Samorządne Związki Zawodowe. Pojawiły się dwa dodatkowe określenia – wartości: „jedność” i „solidarność”. Bliskie, ale nie tożsame. Wygrało to drugie. Nie tylko dlatego, że Gdańsk zyskał przewagę. Przede wszystkim dlatego, że lepiej oddawało i głębszy sens Sierpnia, i nowego Związku-ruchu.

Solidarność jest w życiu społecznym tym, czym miłość w stosunkach interpersonalnych. Jan Paweł II w encyklice *Sollicitudo rei socialis* sformułował to, co intuicyjnie rozumieli strajkujący pracownicy, autorzy postulatów gdańskich, szczecińskich, katowickich i jastrzębskich, twórcy i członkowie związku. Bunt sierpniowy był o coś, nie przeciw komuś. I strajkujący walczyli o coś nie tylko dla siebie. Kryzys strajku gdańskiego 16 sierpnia dowiódł tego najlepiej. W tym dniu strajk mógł się skończyć. Nawet

ogłoszono jego zakończenie. Pracownicy Stoczni im. Lenina osiągnęli swoje dla siebie: przywrócenie do pracy zwolnionych i poważną podwyżkę płac. A jednak strajk został wznowiony. Powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, sformułowano słynne 21 postulatów. Odtąd strajk był już nie tylko o własne sprawy stoczniowców i nie tylko na rzecz mniejszych zakładów, które go wcześniej poparły. Nawet nie tylko o sprawy bytowe czy szerzej – o prawa pracownicze. Stał się walką o prawa człowieka, prawa społeczeństwa i o prawa narodu. Rozumieli to mieszkańcy Wybrzeża gromadząc się pod bramami strajkujących zakładów, rozumieli to intelektualiści, w różny sposób demonstrujący swą solidarność ze strajkującymi. Także swą obecnością na terenie zarówno Stoczni Gdańskiej, jak i Szczecińskiej. Rozumieli to ci, którzy w innych miastach przystępując do strajku we własnych sprawach deklarowali jednocześnie, iż uznają za swoje postulaty Gdańska i Szczecina; rozumiały to załogi, które z odległych miejsc Polski wysyłały swych przedstawicieli do Stoczni, rozumieli to ci, którzy na apel Wałęsy powstrzymywali się od strajku deklarując jednocześnie poparcie dla Wybrzeża. Znamienne było pęknięcie skorupy strachu, cynizmu i egoizmu w środowiskach dziennikarskich zachowujących się dotąd jak bezduszne narzędzie w ręku władz.

Ten duch solidarności panował i później. To on sprawił, że nie udało się ograniczyć prawa do zakładania własnych związków tylko do obszaru Wybrzeża, ani nawet do grupy pracowników najemnych. On był obecny wówczas, gdy w interesie słabszych występowali silniejsi, gdy w obronie wyrzucenych ze szpitala MSW członków Komisji Zakładowej strajkiem groził cały region, o piekarzy, lekarzy, nauczycieli upominali się stoczniowcy, górnicy i włókniarze. Także gdy w najostrzejszych konfliktach publikowano długie listy wyłączeń ze strajku ze względu na interes narodowy (kolej, przemysł zbrojeniowy), społeczny (energetyka, piekarnictwo, służba zdrowia, handel żywnością) lub groźbę wyjątkowych nieodwracalnych strat (oddziały o ruchu ciągłym). Również wówczas, gdy zwalniano z całodobowego pobytu w strajkujących zakładach matki i samotnych ojców.

Solidarność wyrażała się także w trosce o mienie zakładu. W nieagresywnym na ogół stosunku do dyrekcji i przedstawicieli władz, a nawet wobec milicji. Próby wzniecania nienawiści do jakichś grup społecznych, narodów lub konkretnych osób nie znajdowały szerszego rezonansu i gasły. Nie tylko hasło szubienic odrzucono z oburzeniem, także i „taczki” należały do rzadkich incydentów. Wbrew oczekiwaniom 13 grudnia nie znaleziono w lokalach „Solidarności” ani list proskrypcyjnych, ani arsenałów. Upominano się nie tylko o wolność dla więźniów politycznych, ale i o godziwe warunki dla więźniów kryminalnych.

W solidarności tkwi tajemnica niestłuchanego pluralizmu politycznego i światopoglądowego obecnego w tym Związku: z niej wpływała nie tylko tolerancja dla różnic, ale i ograniczanie aspiracji większości wszędzie tam,

gdzie mogły być naruszone istotne, godziwe interesy i prawa mniejszości. Jedność zawsze i wszędzie starano się budować na tym, co wspólne, odrzucając zasadę eliminacji.

Czy ten obraz nie jest fałszywy, idealistyczny? Można znaleźć fakty mu przeczące. W 10-milionowym związku mogło się zdarzyć wszystko. A jednak zdarzenia takie były rzadkie...

To właśnie praktykowana w społeczeństwie solidarność sprawiła, że sprawa polska stała się przedmiotem zainteresowania, podziwu, a wreszcie solidarności innych społeczeństw i narodów.

Solidarności Polaków i solidarności z Polską zawdzięczamy i to, że los represjonowanych i ich rodzin był znośny materialnie i że nie udało się stworzyć wokół nich pustki społecznej, że więźniowie otrzymywali krótsze wyroki, niż im obiecywano, że spędzili w więzieniu krótszy okres, niż przewidywał wyrok, i że nawet za kratami nie czuli się opuszczeni, pozostawieni sobie. Wyrzucony z pracy nie przymierał głodem; o jego powrót do pracy upominano się przy każdej okazji. Znane są niezmordowane starania i działania w tej materii Episkopatu i duchowieństwa. Nie były one wtedy niczym nadzwyczajnym – w tym sensie, że miały one miejsce również wcześniej, w czasach gdy społeczeństwo zamykało się w skorupie strachu, egoizmu i obojętności. Niezwykłe było to, że po raz pierwszy od wielu lat solidarność z pokrzywdzonymi stała się normą społeczną.

Można było oczekiwać reakcji rządów motywowanych interesem politycznym, interwencji różnych instytucji zagranicznych i międzynarodowych, które w statutach mają zapisany obowiązek upominania się o prawa człowieka, obywatela, pracownika, ilekroć i gdziekolwiek zostaną one naruszone. I jest rzeczą normalną, oczywistą, że takie reakcje i interwencje nastąpiły. Ale jest czymś niezwykłym zasięg reakcji społeczeństw i poszczególnych ludzi. A już fakt, że najwięcej indywidualnych paczek przyszło z RFN...

Dzięki solidarności na długo przed okrągłym stołem wygraliśmy walkę o wolne słowo i niezależną kulturę.

Przetrwaliśmy „jeden drugiego ciężar nosząc”. NSZZ „Solidarność” nie tylko potwierdziła swą nazwę – wzbudziła także solidarność ze swym losem. Solidarność ludzi pracy, solidarność z ludźmi pracy, solidarność silniejszych ze słabszymi, obowiązek uwzględniania dobra wspólnego, słusznego interesu nawet przeciwnika, tolerancja dla różnic – wszystko to było obecne i to decydowało o adekwatności nazwy do instytucji tę nazwę noszącej. Czy idealizuję? W jakimś sensie tak – nie brakło przypadków świadczących o czymś odmiennym. Ale nie brakło też potępienia dla nich w imię tych wartości. Wykroczeń przeciw ethosowi solidarności było niewiele.

W stanie tamtego napięcia emocji – powie ktoś – było to łatwe. I wówczas, gdy w okresie owych 16 miesięcy odnajdowaliśmy siebie łamiąc zainfekowane nam podziały, zrywając więzy z serc i umysłów, gdy mieliśmy radość i nadzieję na zwycięstwo dobra już, zaraz, za chwilę. I wówczas, gdy w

okresie represji skupialiśmy się wokół najbardziej pokrzywdzonych i gdy podejmowaliśmy współuczestnictwo w walce o dobro – zdawałoby się z niewielką szansą na sukces.

A dziś? Czy proces wchodzenia w obszar władzy politycznej nie zniszczy tu czegoś? Istnieją niepokojące sygnały. Konstrukcja reprezentacji społecznej strony okrągłego stołu była pierwszym powszechnie dostrzeżonym sygnałem. Nie zadbano o jej pełną reprezentatywność. Po raz pierwszy zamiast pytania „kto z nami” zadano pytanie „kogo pominąć, wykluczyć?” Po raz drugi złamano zasadę solidarności pomijając część niczym nie skompromitowanych, nadal aktywnych założycieli Związku z roku 1980, gdy formułowano wniosek o rejestrację NSZZ „Solidarność” w kwietniu 1989 r. i gdy następnie przystąpiono do wykluczenia niektórych działaczy i struktur. Czerwcowe wybory przyniosły niesłychane przykłady angażowania sił i środków „Solidarności” w zwalczaniu działaczy „z tej samej strony”.

W zakładach widać pierwsze poważne oznaki braku wiary w solidarność. Strajkują piekarze, kolejarze, przerywają pracę pracownicy Pogotowia Ratunkowego – stracili wiarę, że ktoś inny poniesie ich postulaty. Upominać się o swoje i tylko o swoje – to coraz szerszy motyw rokowań i protestów. Czy to podjęcie gry politycznej, wejście w sferę władzy elit NSZZ „Solidarność” tak niszczy solidarność?

W tym kontekście konferencja Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego na temat ethosu „Solidarności” w końcu 1989 roku musiała obudzić wątpliwości – zwłaszcza wywołało je pominięcie w zaproszeniach tych doradców i działaczy „Solidarności”, którzy ją tworzyli w 1980 roku, a teraz podlegają z niej wykluczeniu.

BIAŁO-CZERWONA FLAGA

Nieprzypadkowo w sierpniu 1980 roku i zawsze później protestujące zakłady dekorowały się flagami narodowymi. Nieprzypadkowo flagę narodową zawiera znaczek solidarności. Nieprzypadkowo na sztandarach lub drzewcach sztandarów umieszczano orły (często w koronie). Nie bunt klasowy, lecz insurekcja narodowa. Nie przeciw komuś, lecz dla Polski. Na ten polski charakter protestu sierpniowego i zrodzonego z niego Związku zwracał wielokrotnie uwagę Prymas Tysiąclecia. Interes narodu i państwa polskiego był motywem buntu i motywem jego ograniczania.

KRZYŻ NA BRAMIE

To też symbol określający tożsamość Związku. Podobnie jak znaczek w klapie Przewodniczącego. Msza św. w Stoczni, a potem prawie w każdym strajkującym zakładzie. Msze św. za Ojczyznę. Pielgrzymki świata pracy będące w istocie pielgrzymkami „Solidarności”. Kapelani „Solidarności” z wła-

snej chęci i woli ludu. Kapłan-męczennik. Patron „Solidarności”. Religijne symbole na sztandarach. Krzyże w lokalach związkowych.

Związek, który ze względu na jego skład i program należało traktować jako pluralistyczny, mieszany, był przez większość jego członków postrzegany jako chrześcijański, lub nawet mocniej: katolicki.

Stąd niezrozumienie dla inicjatyw (nawet bardzo dramatycznych) Kazimierza Świtonia. Za zgłoszenie tezy o konieczności wyodrębnienia się z NSZZ „Solidarność” nurtu czy związku chrześcijańskiego zapłacił przegraną wyborów do Komisji Krajowej w 1981 roku. Nie chciano go słuchać, gdy powtarzał tę tezę na prelekcjach w 1985 roku. Jego głodówka w roku 1984 o prawo założenia takiego związku budziła bardzo mieszane uczucia. W łódzkim MPK w początkach 1985 roku 800 (!) pracowników podpisało list do Prymasa i Episkopatu Polski głoszący, że „Solidarność” była i jest związkiem chrześcijańskim.

Była związkiem mieszanym ideowo. Byli w niej ludzie różnych orientacji. W kręgu doradców Krajowej Komisji Porozumiewawczej, doradców Lecha Wałęsy przeważali ludzie o formacji lewicowej, socjalistycznej lub socjaldemokratycznej. Ale byli też tacy, którzy konsekwentnie stali na gruncie katolickiej nauki społecznej. I jedni, i drudzy potrafili organizować poparcie dla swoich propozycji. Potrafili też wypracowywać kompromisy – najłatwiejsze tam, gdzie mimo różnych przesłanek wnioski praktyczne były zbieżne.

W tamtych warunkach politycznych – wewnętrznych i zewnętrznych – postulaty wypływające ze społecznej nauki Kościoła mogły być ze względów taktycznych przyjmowane przez zwolenników budowy lepszej wersji socjalizmu. Gdy jedni mówili, że związek zawodowy nie powinien ze względów zasadniczych ubiegać się o władzę w państwie – drudzy zgadzali się uważając, że to po prostu niebezpieczne. Gdy jedni traktowali samorząd terytorialny jako instytucję, przez którą realizuje się podmiotowość obywateli – dla drugich walka o samorząd była w miarę bezpiecznym etapem walki o władzę polityczną. Dla jednych wolność słowa, zgromadzeń, stowarzyszeń była kwestią realizacji przyrodzonych praw człowieka – dla drugich instrumentem walki z ustrojem komunistycznym. Jedni w samorządzie pracowniczym widzieli jakiś etap upodmiotowienia pracownika i odpolitycznienia gospodarki – dla drugich była to realizacja prawdziwego uspołeczniania środków produkcji. Jedni byli przeciwni kierowniczej roli partii ze względów zasadniczych – inni kierowniczej roli tej właśnie określonej partii. Jedni i drudzy pogodzili się z zapisem w załączniku do Statutu ze względów praktycznych, jedni i drudzy dołożyli wysiłku, by tak zapis przeinterpretować, by nie miał on żadnego realnego znaczenia.

Rzadko dochodziło do ostrych spięć – jak np. przy dyskusji o programie reformy gospodarczej. Osiągnięto szczególny kompromis, na pograniczu manipulacji – nie dopuszczono do głosowania i trzy programy stały się równorzędnymi załącznikami do programu Związku.

Dla działaczy Związku motywy i głębszy sens proponowanych rozwiązań nie zawsze były w pełni czytelne. Eksperci stojący na gruncie katolickiej nauki społecznej rzadko się do niej odwoływali bezpośrednio – chyba z obawy, że zostaną posądzeni o klerykalizm. Eksperci wywodzący się ze środowisk lewicy unikali skompromitowanego słowa „socjalizm” i zabiegali o dobre stosunki z duchownymi. Po dzień dzisiejszy fotografia z Papieżem, komunikat z wizyty u biskupa (najlepiej Prymasa), pokazanie się na uroczystości patriotyczno-religijnej, prelekcja w sali kościelnej, oświadczenie w rodzaju „bliższa mi jest nauka Jana Pawła II, niż doktryna Marksa” należą do dobrego tonu wśród ludzi lewicy laickiej, a w słabo zorientowanej opinii publicznej są czymś więcej, niż po prostu uznaniem autorytetu moralnego i siły politycznej Kościoła w dzisiejszym świecie, a zwłaszcza w Polsce.

Znamienne jednak, że tym gestom towarzyszy często zjawisko „wymywania” ze Związku aktywnych i świadomych nosicieli nauki społecznej Kościoła. Z grona głównych doradców w nie do końca jasnym procesie zniknęli prawie wszyscy, których Prymas Polski obdarzał pełnym zaufaniem i którzy obowiązek pozostawania w łączności z Episkopatem rozumieli literalnie. W pismach debitowych „Solidarności” nie spotyka się ich publikacji. A jeśli już – to w charakterze listka figowego. Brak ich dawnej obecności, brak przestrzeni dla głoszenia i rozwijania tych idei wewnątrz Związku. Lewica laicka ma w „Solidarności” swoich „koncesjonowanych katolików”, najczęściej o lewicowej formacji. Znajdowała z nimi łatwy kontakt na płaszczyźnie KOR-u czy DiP-u, znajduje i dzisiaj. Podobnemu procesowi „wymywania” ulegli działacze „Solidarności” o wyraźnej opcji ideowej, zwłaszcza jeśli mieli nieszczęście ujawnić umiejętność identyfikacji sensu propozycji programowych, lub co gorsza objawiali zdolności programotwórcze.

A resztę – w znacznej mierze katolicką – wprowadza się w błąd sugerując, że każdy wierzący i praktykujący jest jednocześnie zwolennikiem katolickiej nauki społecznej. Katolików nie brakowało i w partii komunistycznej. Nie tylko w Polsce. Przyjaźnią Papieża zaś szczycą się także niektórzy zaprzysięgli ateści.

Gdy kościoły przestały być jedynym azylem niezależnej myśli, niezależnej kultury i wolnego słowa, zaczynają pojawiać się pierwsi „wątpiący”. Nieśmiało na razie zadają pytania, czy nie za wiele klerykalizmu w świeckim związku. Innym ulubionym celem ataków – czasem finezyjnych, czasem prymitywnych – jest Prymas Polski. Dziś jest to kard. Józef Glemp, kiedyś obiektem ataków był kard. Stefan Wyszyński.

Krzyż na bramie Stoczni im. Lenina i Msza św. na jej terenie nie były pustymi gestami taktycznymi. Wynikały z autentycznej potrzeby. Symbolikę tę dostrzeżono daleko poza granicami Polski. I tam zrobiła piorunujące wrażenie. Przez dziesięciolecia na świecie utrwał się stereotyp: o prawa pracownicze walczy się pod czerwonym sztandarem. Sierpień zniszczył ten stereotyp raz na zawsze. Zniszczyła go „Solidarność”.

Ta symbolika oraz treści, jakie ona wyraża, stanowi niezwykle ważny składnik tożsamości Związku „Solidarność”.

DEMOKRACJA

Na gruncie katolickiej nauki społecznej demokracji nie traktuje się jako wartości bezwzględnej. Jej zdaniem podstawowym źródłem prawa jest Bóg, a nie lud zgromadzony. Ale demokracja, jeśli nie uzurpuje sobie tego, do czego nie ma prawa, jest ceniona wysoko jako ustrój najlepiej ze znanych realizujący podmiotowość człowieka, a zwłaszcza jego prawo do wolności. Związek cenił demokrację niezwykle wysoko. I uczył się jej szybko. Uczył się odróżniać wolność od anarchii i demokrację od ochlokracji. Chciał demokratycznie wybierać swe władze – i wybierał je. Szanował uchwały podjęte nawet nieznaczoną większością głosów.

Demokracja sprawdziła się: w tak bardzo otwartym związku, do którego mógł zapisać się każdy, do którego kierowano agentów (aparaturę PZPR oddelegował do niego 1 milion zaufanych ludzi, nie wiadomo ilu skierowała SB), demokratycznie wybrane władze okazały się w godzinie próby o wiele mniej zagenturalizowane niż kierownictwo niejednej elitarnej organizacji.

Zakwestionowanie w 1989 roku mandatów pochodzących z jedynych w historii PRL w pełni demokratycznych i wolnych wyborów, poprzez powołanie nowych władz drogą nominacji, wyrządziło Związkowi wielką szkodę. Eliminacyjny zamysł tych nominacji wywołał konflikt i podzielił Związek. Miast jedności, dał rozbicie. Zaszczepił niepotrzebny, pozorny, a jednak bardzo silny konflikt sumień wobec wyboru między „racją polityczną” a „racją moralną”, między szacunkiem dla wyników wyborów i demokracji w ogóle a autorytetem przywódcy. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że eliminowanym w tym trybie działaczom nie sposób zwykle było postawić innego zarzutu niż ten, że Lech Wałęsa ich nie lubi i nie chce z nimi pracować.

Czy trwająca właśnie nowa akcja wyborcza przywróci Związkowi charakter demokratyczny, a wraz z nim jedność organizacyjną i solidarność? W Łodzi, Wrocławiu, Bydgoszczy i Piotrkowie Trybunalskim chyba tak. A w Szczecinie, Gdańsku, Warszawie i w kilku innych miejscach?

Nie jest bez znaczenia dla przyszłości Polski, jaka organizacja wywalczy jej wolność i niepodległość. Autorytarna instytucja jako główny promotor tej walki – to groźna perspektywa.

PRAWORZĄDNOŚĆ

Lata minione (a i obecne poniekąd też) nie stwarzały dobrego klimatu dla poszanowania prawa stanowionego obowiązującego w państwie. Władze PRL traktowały prawo jako narzędzie w swym ręku, i to narzędzie bardzo plastyczne, jeśli chodzi o jego stosowanie, a nawet sposób stanowienia.

Konstytucja, konwencje międzynarodowe i inne akty prawne w tym zakresie, w jakim chroniły prawa człowieka i obywatela, traktowane były przez władze dekoracyjnie. „Gumowe” przepisy wykonawcze (czasem w ogóle ich brak), prawo powielaczowe i praktyka, które często przeczyły deklaracjom aktów wyższego rzędu – wszystko to nie budziło szacunku dla prawa formalnego.

Przedsierpniowa opozycja odwoływała się przede wszystkim do prawa międzynarodowego, do naturalnych praw człowieka i obywatela – rzadziej do prawa wewnętrznego. Rokowania i umowy społeczne stały się źródłem prawa. „Zapiszemy po prostu, że będziemy realizować zapisy Konstytucji” – zaproponował nieoczekiwanie w 1980 roku Międzyzakładowemu Komitetowi Strajkowemu Wybrzeża Gdańskiego wicepremier Jagielski! Powitano to śmiechem i lekceważeniem – chciano zapisów szczegółowych. Zapisano w efekcie m. in. to, że władze PRL będą przestrzegać ratyfikowanych przez siebie konwencji!

Dla prawników-pozytywistów rok 1980 i następne musiały stanowić niezwykle przeżycie: minister się zobowiązywał, że Sejm postanowi, a sąd zarejestruje, tymczasem umowy strajkujących z rządem ratyfikował KC PZPR... itd. Nic dziwnego, że prawo PRL nie cieszyło się specjalnym szacunkiem w nowym ruchu-związku. Dostosowanie prawa lub sposobu jego realizacji często traktowano przede wszystkim jako kwestię pozorów dla zachowania twarzy przez władzę.

Po stronie społecznej wymuszanie zmiany prawa lub sposobu stosowania go odbywało się przy użyciu dwóch argumentów:

1. bo tak będzie słusznie, sprawiedliwie;
2. bo ludzie tego się domagają.

Najczęściej nie było w praktyce sprzeczności między tymi argumentami, choć kryły one w sobie różne filozofie prawa, sprawiedliwości i praworządności. Sprzeczności te miały pojawić się później, gdy owa „wola ludu” zaczęła być artykułowana wyłącznie przez część elit „Solidarności”. O ile do prawa państwowego podchodzono często z lekceważeniem („nie my je stanowiliśmy ani nie my wybieraliśmy tych, co je stanowili”; „jest sprzeczne z prawami naturalnymi potwierdzonymi przez umowy międzynarodowe”), to prawo wewnętrzne Związku traktowano ze śmiertelną powagą. Naruszenie Statutu, uchwały, a nawet instrukcji szczegółowej do rokowań – nawet jeśli usprawiedliwione nadzwyczajnymi okolicznościami – wywoływało niesłychane awantury i kryzys.

Te prawa bowiem były zarówno „przez nas stanowione”, jak też chroniły prawa naturalne człowieka. Niemal powszechnie przyjmowano, że demokratycznie ustanowione prawa i procedury („z założenia” niesprzeczne z prawami człowieka) muszą być przestrzegane literalnie. Oczekiwano, że Związek wywrze skuteczny wpływ, by takie były również prawa kraju. Nie oznacza to, że w Związku brakowało „pragmatyków” uważających, że „dobre prawo

to takie, które służy naszym celom”. Byli i w okresie represji, kiedy mechanizmy demokratyczne w Związku zostały zablokowane, kiedy wyeliminowano część jego elit, oni zdobyli wpływ przemożny.

„Taktyczne” przyjęcie koncepcji legalizacji (w istocie ponownego założenia), zamiast relegalizacji Związku, połączone z nonszalanckim dopisaniem „Aneksu” i zmianą składu założycieli może stanowić równie fatalny precedens przekraczający znaczeniem ramy Związku, jak zgoda Komitetu Obywatelskiego na zmianę ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu w trakcie trwania wyborów. Pierwsze i drugie nie tylko oznacza „legalizację” procedur stosowanych w stanie wojennym (łącznie z samym sposobem jego proklamowania), ale także oznacza ich akceptację przez ruch, który przez wielu uważany był i jest za ruch odnowy moralnej w życiu publicznym. Powstaje pytanie, czym „my” będziemy się różnić od „nich”?

Powstają znaki zapytania: czy przez zgodę na taką legalizację Związku:

– uznaliśmy za legalne akty przeciw niemu poczynione z naruszeniem Konwencji MOP, Paktów Praw i innych umów międzynarodowych?

– uznaliśmy prawo pracodawcy do ingerowania w Związek, łącznie z prawem do likwidacji, zakładania, zmiany władz, statutu i programu?

Poprzez ten akt nie tylko postawiono pod znakiem zapytania ciągłość istnienia Związku i jego wewnętrzną praworządność. Również jego moralne prawo do występowania w roli sumienia narodu i konstruktora nowego ładu w życiu publicznym kraju.

Słaba dynamika przyrostu członkostwa w NSZZ „Solidarność” i brak objawów spontanicznej radości z jego powrotu do normalnej działalności tłumaczy się nie tylko zmęczeniem, lękiem i otwarciem nowych sfer działania poza strukturami i „parasolem” Związku – lecz również wątpliwościami co do jego tożsamości. Dziś nie tylko kraj musi przejść odnowę moralną – konieczna jest ona również na tej ongiś wyspie zdrowia moralnego, za jaką był uważany NSZZ „Solidarność”.

Wiele zależy od jego członków, bardzo wiele od Lecha Wałęsy.

Grudzień, 1989